

Marek Wawrzkiwicz

Nasz niepowtarzalny, polski patriotyzm (2)

W naszym pojęciu zrobiliśmy dla świata – w dalszej i bliższej przeszłości – wystarczająco wiele, aby teraz spokojnie oczekiwać, że świat nam za to hojnie odpłaci. Ale świat płaci niechętnie i za świadczenia wystawia rachunki. W „Sprawach ludzkich” profesora Jana Szczepańskiego przeczytałem spostrzeżenie sprzed blisko 30 lat, aktualne i dziś:

...każdy zamożny naród powtarza po prostu: to, co mamy, zdobywaliśmy naszą rozumą, pracowitością, pomysłowością, organizacją, niech więc inni też pracują lepiej, lepiej wykorzystują swoją ziemię, lepiej hodują bydło, a też będą mieli tyle samo, ile my mamy. Dlaczego mamy się dzielić owocami naszej ciężkiej pracy z leniuchami, którzy nie chcą i nie umieją pracować? Toteż w salach konferencyjnych składane są humanitarne deklaracje, a w parlamentach są już znacznie ostrożniejsze”.

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich latach, w niektórych dziedzinach życia społecznego staliśmy się bardziej racjonalni. Ale racjonalizm ten w przedziwny sposób koegzystuje w meksjanistycznym, irracjonalnym widzeniu świata i roli, której w nim odgrywamy. Żyjemy prawdopodobnie w epoce nie tyle zmierzchu autorytetów, ile w ich nadmiarze. Przyjmujemy jako dogmat i prawdę objawioną sąd wypowiedziany wczoraj, ale pod naporem dzisiejszych faktów ulega on dyskwalifikacji. Wolę więc powoływać się na diagnozy postawione znacznie wcześniej, bo, o dziwo, nie straciły one ani na aktualności, ani na trafności. Dotyczą one również polskiego patriotyzmu.

Lat temu kilkanaście wstrząsnął mną wynik badania opinii publicznej dotyczący stosunku młodszych pokoleń do własnego kraju; myślę, że niewiele w tej mierze się zmieniło. Na pytanie o gotowość do obrony kraju w wypadku najazdu agresora tylko nieznaczny procent młodych ludzi odpowiedział, że bez wahania chwyciłby za broń. Przeróżająca większość w takiej sytuacji „wyjechałaby za granicę”. Nie pytam za jaką granicę, w jaki sposób i nie zamierzam znęcać się nad naiwnością takiej świadomości. Zwracam tylko uwagę na współczesne działania: pochodzący z przeszłości pomysł wychowania nowego pokolenia partyzantów przez tworzenie wojsk obrony terytorialnej, jest czymś, co harmonijnie wpisuje się w naszą ukształtowaną historycznie świadomość. Widać ciągle w nas drzemie tęsknota do grotgerowskich pejzaży powstańczo partyzanckich, ale tęsknota ta podniesiona do rangi strategii państwa jest po prostu aberracją.

Warto chyba zastanowić się nad polskimi zachowaniami wobec świata, wobec narodów, które żyją w mniej kłopotliwym i absorbującym sąsiedztwie. Otóż nasz stosunek do świata zewnętrznego jest równie niekonsekwentny jak nasza własna samoocena. Wynika to po części z tego, co psychologowie określają jako „wzmózione samopoczucie”, czyli, inaczej mówiąc z polocentrycznego widzenia świata. Jesteśmy chyba przekonani, że świat przygląda się nam z naprężoną uwagą. Wczoraj jawił się nam jako nasz niewypłacalny dłużnik. Kiedyś łaknęliśmy akceptacji, dziś też za nią tęsknimy, ale ponieważ zagranica uznania skąpi, a wprost przeciwnie wystawia nam surowe oceny, to część społeczeństwa poddana indokrynacji oficjalnej propagandy woli uważać, że jesteśmy otoczeni wrogami, którzy nie są w stanie pojąć naszej wielkości. Wszyscy się mylą, tylko my mamy rację.

Zniewolenie przeszłością owocuje ruchem wstecznym. Romantyczny czad, który w znacznej mierze ukształtował naszą psychikę narodową nie wywietrzył do dziś. Warto jeszcze raz przypomnieć Aleksandra Bocheńskiego:

Psychologia polska rozbudzona epoką Legionów – cudownego odzyskania niepodległości – potem przybita upadkiem powstania zaczyna oddalać się od wszelkiego myślenia, pada łupem psychozy zbiorowej, którą nazwano „mesjanizmem”. Polacy wierzą głęboko, że ich naród jest Chrystusem narodów, że cierpi niewinnie za inne ludy, że im więcej cierpi, tym lepiej... Najwięksi polscy poeci: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, łądzą częściowo tej aberracji. W tzw. polityce historycznej – niczym nowym, ale na nowo sformułowanej i mającej co innego znaczyć – ciągle mieści się teoria o wyjątkowości, wzniosłości i niezmiennym rodowodzie polskiego losu. Z trudem daje się to znieść, kiedy pojawia się na kartach historii literatury, ale kiedy zaczyna być używana do wyjaśniania dziejów narodu, musi być uważana za zbroczenie umysłowe. I dawniej i dziś spuścizna romantyczna traktowana jest nie jako wielka epoka literacka, a jako rodzaj ewangelii narodowej. Być może z niej wywodzą się współczesne poczynania: wszystko, co było przed kilkudziesięciu i kilkunastoma laty uznajemy za czas całkowicie zmarnowany. Historię piszemy na nowo i zaczyna się od dziś: z właściwą sobie bezkompromisowością obalamy niesłuszne pomniki, wyrrywamy z murów tablice. Zastępy opłacanych przez państwo myśliwych zapuszczają się w matczyne minione okresy i rządzą

polowania na sprawców dzisiejszych bied. Czarownica płonąca na stosie w pogodny wieczór jest prawdopodobnie obrazem miłym dla ludzi o szczególnym poczuciu estetyki, ale poza satysfakcją dla pewnych grup niewiele z tego pożytku wynika. Tworzą się nowe mity: gaz łzawiący stanu wojennego i walki na kamienie z ZOMO jeszcze nie tak dawno porównywano do Powstania Warszawskiego. Walka – to coś, co w życiu narodu stawiamy najwyżej, dychotomia romantyzmu i pozytywizmu obowiązuje do dziś i ciągle jeszcze ten pierwszy jest w cenie. 30 lat temu we „Wszystko inaczej” Stefan Kisilewski zauważył:

...terror narodowej tradycji edukacyjnej jest tak silny, że ulegli mu nawet komuniści. Mając w ręku wszelkie środki urabiania duszy i przemieniania wstecz historii, przyjęli jednak jedyną chwytającą tu za serce koncepcję bohaterską i straceńczą, tyle, że umieszcili ją pod Lenino, a nie pod Monte Cassino – tę drugą bitwę też musieli w końcu ułaskawić.

Monte Cassino widziane jest jako ołtarz ofiarny tych co „szli i ginęli”, a nie jako przykład przemysłanej, choć może nie pozbawionej elementów straceńczych, strategii operacji wojennej. W innej, „komunistycznej” legendzie niewielka bitwa pod Lenino urosła do rangi Grunwaldu. A zniszczono w niej 9 nieprzyjacielskich czołgów, zabito ok. 1500 żołnierzy przeciwnika, wzięto do niewoli 300. Z poczuciem niejakiego zawodu dowiadujemy się, że zginęło tam „zaledwie” 502 żołnierzy polskich i trzy razy tyle radzieckich. Legendę nowego bohaterstwa oparto na starym szablonie. Ale też na naszym umiłowaniu bohaterstwa i męczeństwa. I sporo wierszy o tym Grunwaldzie powstało. Wierszy jak spż dzwiczających.

Dawno temu profesor Artur Sandauer (jak szybko zapominamy wybitne postaci!) powiedział mi w jaki sposób buduje się u nas wielkość poety. Stwierdził mianowicie, że kocha się poetów „zabitych albo zapitych”. Rzeczywiście, istnieje swoisty areopag poetycki tych, którzy swoje tragiczne wizje potwierdzili tragicznym zwieńczeniem życia: kiedy umarli młodo, popełnili samobójstwo lub sięgnęli do dna ludzkiej egzystencji. Ciągłe żyją legendy „kaskaderów literatury” – Stachury, Wojaczka, Bruno Miłczewskiego, Bursy, Ratonia. Niektórym z nich nie twórczość, a śmierć nadała rangę wybitności. Takie hierarchie mogą powstawać tylko w określonej aurze społecznej, w uwielbieniu nieszczęścia i męczeństwa. Nawet to wyrasta z korzeni historii. Jeszcze raz Aleksander Bo-